

Wańkowicz po latach:  
towarzysz podróży  
historyków



Melchior Wańkowicz, fot. Władysław Miernicki – Narodowe Archiwum Cyfrowe, Sygnatura: 20-112

**Marcin Kula** (*Polska*)

Książka Aleksandry Ziółkowskiej-Boehm imponuje rozmiarami oraz zapleczem materiałowym. W swoich opisach i analizie autorka wykorzystuje po pierwsze wiedzę, jaką zyskała, będąc przez lata sekretarką i asystentką Melchiora Wańkowicza. To jej przekazał swoje, skrupulatnie prowadzone archiwum, toteż miała dostęp do notatek pisarza, jego listów i wycinków. Sama

korespondowała z mnóstwem ludzi, którzy mieli z nim kontakt. Prześledziła publikowane reakcje na jego książki. Przejrzała odnoszące się doń akta w archiwum paryskiej „Kultury” i w IPN... To nie jest „tylko” książka wspomnieniowa. Wspomnienia zostały w niej połączone z rezultatami wielkiej pracy, której trud przede wszystkim historyk potrafi docenić.

Aleksandra Ziółkowska-Boehm stała się naszym przewodnikiem po drogach życia Wańkowicza. Widzimy jego codzienne bytowanie, różne prywatne sprawy, czytamy listy – co zresztą jest ciekawe nie tylko dla tej postaci, ale również dla refleksji nad historią kultury szeroko rozumianej. Towarzyszymy pisarzowi w smutku ostatniego okresu, kiedy był chory:

Gdy pytałam, co go gnębi, opowiadał historie często sprzed lat, przypominał całożyciowe przykrości. Wszystko to, co mówił, było smutne, przygnębiające, czasami zdumiewające... – s. 97.

Z książki można się dowiedzieć o najróżniejszych sprawach, z którymi Wańkowicz miał kontakt – na przykład o historii wydawnictwa „Rój”, o życiu emigracji, o paryskiej „Kulturze”. Także o sporach i namiętnościach nie tylko literackich wokół dzieł pisarza (na przykład o druku przez Związek Niemieckiego Wschodu niemieckiego tłumaczenia „Na tropach Smętka”, z

numerowanymi egzemplarzami, dla poznania metod Polaków – co mojemu pokoleniu niestety żywo przypomina, dajmy na to, biuletyny tekstów zachodniej prasy, nawet tekstów audycji WE, przygotowywane dla osób zaufanych w PRL).

Badania autorki w zakresie życia i twórczości Wańkowicza były zbieżne – bowiem dzieło pisarza było wyjątkowo splecione z jego życiem. To był człowiek, który nie przestawał być reporterem

**Wańkowicz:** Gdy jadę tramwajem, coś zmusza mnie do tego, bym się dowiedział, jaką książkę czyta ów pan w przeciwległym kącie wozu. Śledzę jakąś parkę na przestrzeni kilku ulic, aby się dowiedzieć, jakim mówią językiem. Zaglądam do cudzych okien, odczytuję wszelkie szyldziki na drzwiach mieszkań kamienicy, do której przybywam w odwiedziny, szukam na cmentarzu znajomych nazwisk. Obojętnych mi ludzi wypytuję o ich życie. Niezwykłe nazwy ulic zmuszają mnie do zastanowienia się, dlaczego one tak właśnie brzmią. Chciałbym przetrząsnąć każdą rupieciarnię i każdy stos starych papierów. Każdy napis „Wstęp wzbroniony” nęci mnie do przekroczenia zakazu, każda tajemnica zachęca do jej zgłębienia – s. 181.

Przeprawiając się wpław przez Dniestr pod koniec września 1939 r., Wańkowicz przeniósł maszynę do pisania (!). Potem pisał czy

to o „codzienności” wojennej tułaczki, czy o wielkich sprawach. Gdzie go los rzucił, tam obserwował i opisywał otoczenie. Gdy go ten los uwikłał go w wojnę, tworzył obraz wojny. Gdy zaniósł go do Palestyny, to tam rozwijał swoje zainteresowanie Żydami i syjonizmem. Fascynował się Ameryką, gdzie spędził dziewięć lat. Żyjąc wśród emigrantów, obserwował i definiował dylematy, wobec których stali

**Wańkowicz:** W 1949 roku sądzę, że Rosja zwycięży, ale nie potrafi urządzić świata. I rozleci się. Iść za stronę skazaną na przegranie przeciw Rosji, jest bezmyślnym samobójstwem, a walka o rzekome walory kultury zachodniej – zakłamanie publicystów, którzy potrafią recytować Wyspiańskiego, ale z ekonomii politycznej nie przeczytali nawet jednego podstawowego podręcznika – s. 278.

Gdzie Wańkowicza coś interesowało – tam starał się pojechać (bolszewicka Rosja, Meksyk okresu wojny religijnej). Po latach Ryszard Kapuściński zaczął pewien ustęp, chyba nie zdając sobie sprawy jak charakterystyczne dla siebie formułuje zdanie: „Gdy jechałem na rewolucje do...” (dalej padła nazwa jakiegoś kraju afrykańskiego, której już nie pamiętam). Podczas jakiejś konferencji o problemach społecznych w Ameryce Łacińskiej Kapuściński wyszedł, mówiąc, że wróci później – bowiem dotarło do niego, że właśnie w tym mieście, trochę dalej, rozgrywa się

bijatyka manifestantów z policją; poszedł tam zatem, by samemu obejrzeć ekspresję problemów społecznych. Właśnie taka była odpowiednio wcześniej postawa Wańkowicza. Kapuściński nie musiał go oczywiście naśladować – ale przynajmniej w tym wymiarze postawa wielkich twórców reportażu była podobna.

Pisząc swoje reportaże, Wańkowicz z pewnością nie myślał o przyszłych historykach. Stworzył jednak dla nas niezwykle źródło – i w tym sensie stał się towarzyszem naszej podróży w czasie. Dysponujemy różnymi źródłami – ale reportaże z epoki mówią do nas w inny sposób niż materiały aktowe, nawet niż różnego typu raporty. To są opisy zawodowych i zapasjonowanych obserwatorów, którzy najczęściej umieją patrzeć, analizować i uogólniać. Wystarczy zreszta popatrzeć na współczesnych polskich reporterów (by wymienić przykładowo: Jacka Hugo-Badera, Adama Leszczyńskiego, Małgorzatę Rejmer, Ziemowita Szczerka, Mariusza Szczygła, Małgorzatę Szejnert, Wojciecha Tochmana...).

Przyzwoity reporter to obserwator nieraz bardziej wiarygodny niż wielu innych autorów źródeł opisowych, gdyż najczęściej jest mniej od nich zainteresowany osobiście sprawą, o której pisze. Nadto najczęściej stara się zrozumieć obserwowanych ludzi, wczuć się w ich pasje. Istnieje oczywiście niebezpieczeństwo, że reporter pójdzie mocno w kierunku literatury, że – jak wielki malarz – przedstawi atmosferę sytuacji nawet kosztem

dokładności jej odzwierciedlenia. Wańkowicz, jak pisze autorka, „wprowadził reportaż polski na szerokie drogi literatury faktu” (s. 175). Czasem obserwowano takie podejście u Kapuścińskiego, którego teksty czyta się znakomicie i z pożytkiem dla zrozumienia biegu spraw, ale czasem z pytaniem, czy odmalowane w szczegółach sytuacje doprawdy tak wyglądały. Teksty Wańkowicza chyba mogą być jednak źródłem nawet dla historyka najbardziej wiernego kanonom uprawianego zawodu. Nie da się dziś pisać o Polakach w Prusach Wschodnich, czy o COP-ie, bez ich lektury. Sam *notabene* z pożytkiem korzystałem z wańkowiczowskich reportaży dotyczących Palestyny i Meksyku. Ciekawe były wrażenia pisarza z bolszewickiej Rosji. Niektóre z jego reportaży były dosłownie unikalne – jak wywiady z Rydzem-Śmigłym i z Beckiem w Rumunii, czy z Abrahamem „Yairem” Sternem, żydowskim terrorystą poszukiwanym przez Anglików. Wańkowicz, będąc w Palestynie, starał się o kontakt z nim. Nie mógł go uzyskać – co nie jest dziwne. W końcu dostał wiadomość, że ktoś przyjdzie do niego wieczorem i od przebiegu rozmowy zależy, czy dojdzie do spotkania. Rozmowa toczyła się przez całą noc. Gość ulotnił się po końcu godziny policyjnej. Trochę później Wańkowicz wyszedł na ulicę i na plakatach z ogłoszeniami o osobie poszukiwanej zobaczył swojego rozmówcę.

Wątkiem interesującym dla historyka jest jednak także samo życie Wańkowicza. Biologowie mawiają, że patrząc na kroplę

wody pod mikroskopem można wiele dowiedzieć się o nadspodziewanie szerokich zagadnieniach. Bogate życie Wańkowicza mogłoby być pryzmatem, przy pomocy którego dałoby się napisać kawał historii Polski. Niektóre jego etapy dokumentował sam Wańkowicz, inne - albo te same - opisała oraz zilustrowała dokumentami autorka. W książce pojawia się życie przedwojenne pisarza, dzieje wydawnictwa „Rój”, zawirowania wojenne, jego życie na emigracji i (co ważne!) wśród emigrantów, kontakty z „Kulturą”, decyzja o powrocie i jej echa w środowisku emigracyjnym... no i życie w PRL. Ten ostatni etap bardzo mnie zainteresował - bowiem nasunął mi pytanie jakie okoliczności sprawiły, że w komunistycznej Polsce Wańkowicz mógł być tak wielką postacią. Potwierdził też moje przekonanie, wywiedzione zarówno z pracy zawodowej, jak ze wspomnień, o niekoherencji tego systemu, przynajmniej po 1956 r.

Stwierdzenie, że Wańkowicz był wielką postacią bowiem był wielkim pisarzem, jest tylko częściową prawdą. W PRL nie on jeden był wybitnym pisarzem, a mało kto został tak zapamiętany. W końcu władze mogły nie dopuścić, by rósł w siłę jako pisarz. Myślę, że jego popularność w pierwszym rządzie budowały cechy osobiste. PRL była w znaczącym stopniu krajem ludzi szarych i typowych. Nawet wśród relatywnie znanych postaci mało było oryginałów, osób nietuzinkowych, nieszablonowych. Takich władza zresztą nie lubiła. Wańkowicz zaś taki był. Robił wrażenie



swoją postawą, przynajmniej zewnętrzną pewnością siebie, rozbudowanym *ego*

Ileż różnych cech miał w sobie ten człowiek! Był jednocześnie i egoistą, i gotowym do poświęceń, wielkim łgarzem, egocentrykiem, gruboskórnym, a także wrażliwym na ludzkie cierpienie, lękającym się o sobie myśleć jako o wielkim pisarzu, delikatnym, czułym, tkliwym. Był sprzecznością. Sama nie wiem, które cechy dominowały, zależało to od ludzi, od układów, od sytuacji - s. 101.

Był sprzecznością: i chciał, i nie chciał nagrody państwowej, orderu, uroczystego pogrzebu, wielkiej śmierci - s. 110.

Bardzo mało było w PRL ludzi utrzymujących styl człowieka „do wypitki i do wybitki”, przypominających szlachcica we dworze, prowadzących otwarty dom, gdzie bywała „cała Warszawa”.

Lubił przyjmować ludzi, lubił dawać dobrze zjeść. Ugaszczał ich delicjami, smakołykami, wyszukanymi różnościami, jak ósmiorice, ślimaki, żaby itp. - s. 103.

Był trochę człowiekiem dawnych czasów – co w PRL nie zdarzało się często, przynajmniej wśród osób funkcjonujących publicznie. Utrzymywał szeroką korespondencję, masowo otrzymywał listy od najróżniejszych nadawców, w tym od „zwykłych ludzi”. Wątpię, czy wiele znanych osób w ówczesnej Polsce odpowiedziałoby na list z pytaniem, czy dziecko ma nazwać psa „Dupek” (imię psa Wańkowicza), czy „Melchiorek” (oczywiście od imienia samego pisarza). Jeszcze mniej odpowiedziałoby następująco:

Drogi Kubusiu, odbyłem z Dupkiem naradę, ale na razie do niczego nie doszliśmy: on chciał, żeby Twój piesek nazywał się Dupek, a ja – żeby Melchiorek. Ale stało się tak, że już jedna dziewczynka nazwała swój jasek Melchiorkiem, a biednego Dupka nikt jeszcze nie uczcił. Wobec czego powiedziałem Dupkowi „mądry głupiemu ustąpi”, na co on zamerdał ogonkiem. Ale powiedziałem: dobrze, niech piesek Kubusia zostanie Dupkiem Nr 2 i nie przynosi wstydu, ale na drugie imię niech ma Melchiorek. Na co Dupuś polizał mnie w nos, a więc się zgodził. Tak więc, jeśli Twój piesek będzie miał synka, to mu koniecznie wpisać należy imię ojca: „Dupek-Melchiorek”. Daj mu z powodu tych chrzcin jakąś honorową kość. Całuję Ciebie – Melchior Wańkowicz (s. 63-64).



Grupa polskich uczestników kongresu podczas pobytu w poselstwie polskim, X kongres PEN Clubów w Budapeszcie w 1932 roku. Stoją od lewej: Władysław Korsak, Mieczysław Grydzewski, Romana Kaden-Bandrowska, Jan Tomcanyi, Breiterowa, Witold Hulewicz, Julisz Kaden-Bandrowski, Szalom Asz, **Melchior Wańkowicz**, Zdzisław Kleszczyński, Stefania Podhorska-Okołów, profesor Huzarski, Kazimierz Wierzyński, siedzą: Dobrowolska, Wańkiewiczowa, Wieleżyńska, Łepkowska, poseł Stanisław Łepkowski, ks. Lubomirska, Stella Olgierd, rtm. Nitman, fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe

Pisarz był - co wówczas rzadkie - człowiekiem-firmą, autorytetem otwartym na kontakty, wręcz lubiącym chcących się

do niego zbliżyć. Zatrudniał sekretarkę, budował dom, gromadził własne archiwum, produkował mnóstwo tekstów. Był atrakcyjny jako człowiek z Zachodu. Jako ten, który wrócił, był dla władz do pewnych granic wygodny. Jego dzieła znajdowały uznanie czytelników w różnych gronach – także w szeroko rozumianym środowisku ludzi władzy. Wówczas było w nim przecież już znacznie więcej ludzi o mentalności z grubsza przeciętnej niż charakterystycznej dla wiekowych komunistów. W latach sześćdziesiątych PZPR coraz bardziej uderzała w nutę patriotyczną. Robiła to i dawniej, ale wówczas ta patriotyczna stopniowo stawała się niemal jedyną. Coraz częściej wracał klasyczny dyskurs o bohaterstwie Polaków. Oczywiście, cała ta ewolucja miała ograniczenia – ale zaryzykuję powiedzenie, że właśnie dlatego mówienie o Monte Cassino było dla ówczesnych władz wygodniejsze niż mówienie na przykład o AK i Powstaniu Warszawskim. W ramach tej ewolucji Wańkowicz mógł być nawet wygodny z punktu widzenia władz. Prawda, bywały z nim kłopoty. Nie chciał siedzieć cicho. Podpisał list 34. Praktycznie nie ukrywał swoich myśli. Gdy przyszedł kiedyś do mojego liceum na spotkanie z młodzieżą, ktoś z uczniów (nie ja!) zapytał go dlaczego nie pisze o... i tu wymienił jakąś sprawę wtedy drażliwą, doprawdy nie pamiętam już jaką. Pisarz odpowiedział jednym słowem: „Dlatego”. Brak mi talentu Wańkowicza (sic!), by oddać tę scenę – ale nikt na sali nie miał wątpliwości, że miało to znaczyć, iż władza nie pozwala. Niemniej jednak narastający w latach sześćdziesiątych moczaryzm go potrzebował. On zresztą

przyjmował w domu niektórych ludzi wyraźnie o takiej orientacji (Załuskich, Jana Zygmunta Jakubowskiego) – trudno powiedzieć, czy cynicznie, czy z prawdziwej chęci. Na tym tle proces Wańkowicza był czymś więcej niż strzeleniem sobie przez establishment w stopę:

Ostatecznie proces przyniósł Wańkowiczowi jeszcze większą popularność, stał się kimś w rodzaju bohatera. Ludzie zatrzymywali go na ulicy, otrzymywał kwiaty i listy od czytelników. Znany był powszechnie wypadek, kiedy przyszedł do teatru, zajął miejsce w pierwszym rzędzie i w połowie aktu jeden z aktorów, rozpoznawszy go, podszedł do rampy, uklonił się i dopiero potem wznowił grę. Brawa publiczności pokwitowały to zdarzenie – s. 358.

Ten proces był czymś sprzecznym z logiką ówczesnej ewolucji PZPR. Całe posunięcie bardziej pasowało do Gomułki niż do Moczara i wszystkich ówczesnych arywistów z tego okresu. Nie mam na to żadnych dowodów, ale odnoszę wrażenie, że proces Melchiora Wańkowicza (1964) był nie tylko ukaraniem pisarza przez Gomułkę ze złości za niepodporządkowywanie się PRL-owskiemu władzom, ale również komunikatem dla środowiska literackiego, że władza jest zdecydowana wymóc posłuszeństwo (jeśli nie zawahała się zamknąć, postawić przed sądem i skazać na 3 lata tak wybitnego pisarza, na dodatek mającego wtedy 72

lata...). Ostatecznie władza nie zdecydowała się uwięzić Wańkowicza – choć istnieje legenda jakoby on w pewnym sensie nawet chciał tego. Trudno oczywiście powiedzieć, że ktoś chce siedzieć w więzieniu – ale on też w swojej roli oskarżonego coś rozgrywał.

Logiki trudno się było doszukać w systemie także w przedstawianych w książce mniejszych sprawach. Po przyjeździe do Londynu pisarza odległego duchowo (i zaznaczającego swój dystans ukrytymi, ale przecież wyczuwanymi przez władzę czynami) witał na miejskim terminalu lotniczym konsul z koniakiem i kwiatami. Zasłużony dla wydawania Wańkowicza wydawca utrzymywał jakieś mętne konszachty z SB w wysiłkach pozyskania jego archiwum, zresztą nie udanych. Jak owego wydawcę dzisiaj oceniać – nawet tylko w ramach tematu „Wańkowicz”? Co było ważniejsze?

Józef Tejchma, wicepremier i Minister Kultury, osłaniał pisarza i pozostawał z nim w prywatnych stosunkach tak bliskich, że ten do jego żony pisał wierszyk: „Tejchmo Alicjo, Moja delicio...” (s. 84). Pisarz aresztowany, z rewizją przeprowadzoną nawet w zawodowych materiałach, był jednak przetrzymywany w dobrych warunkach poza regularnym więzieniem. Został skazany, ale zwolniony od odbycia kary. Skazany, ale przyjęty na rozmowę przez samego Gomułkę:

Pisarz mówił, że jedynie w Polsce możliwa jest sytuacja, aby skazany żył z wyrokiem półtorarocznego więzienia, poruszał się swobodnie, a nawet wyjeżdżał za granicę – s. 358.

Nawet jeżeli w tle może kryły się rozgrywki wewnętrzne w ramach PZPR, których nie znamy – to opisywane zjawisko było jednak głębsze.

Wańkowicz, pisarz opozycyjny, procesował się z Tadeuszem Walichnowskim – czołową postacią moczaryzmu, jedną z głównych postaci ofensywy marcowej, jedną z najmocniejszych postaci ówczesnego establishmentu policyjnego. Dobrze, procesował się o to, że tamten w swoim dziele napisał, iż „Na tropach Smętka” przyczyniło się do śmierci wielu osób (wskazując je Niemcom). Niemniej jednak procesował się. Proces zresztą wygrał – co niestety niewiele mu przyniosło, gdyż nie dożył wyroku.

Ten system był niekoherentny, niespójny, zaś Wańkowicz swoją postacią i swoją twórczością, nawet okrawaną, ową niekoherencję powiększał. W Polsce czytano „Bitwę o Monte Cassino”, nawet jeśli okrojona, w wielkich nakładach, nieporównywalnych z ewentualnym przesz muglowaniem pewnej liczby tej książki z Zachodu – co pewno miałoby miejsce, gdyby tam pozostał. Barwność postaci pisarza też była elementem

zdrowia w niezdrowej PRL. Choćby dla takich przyczyn cenne było, że wrócił – wbrew wszystkim krytykującym ten jego krok.

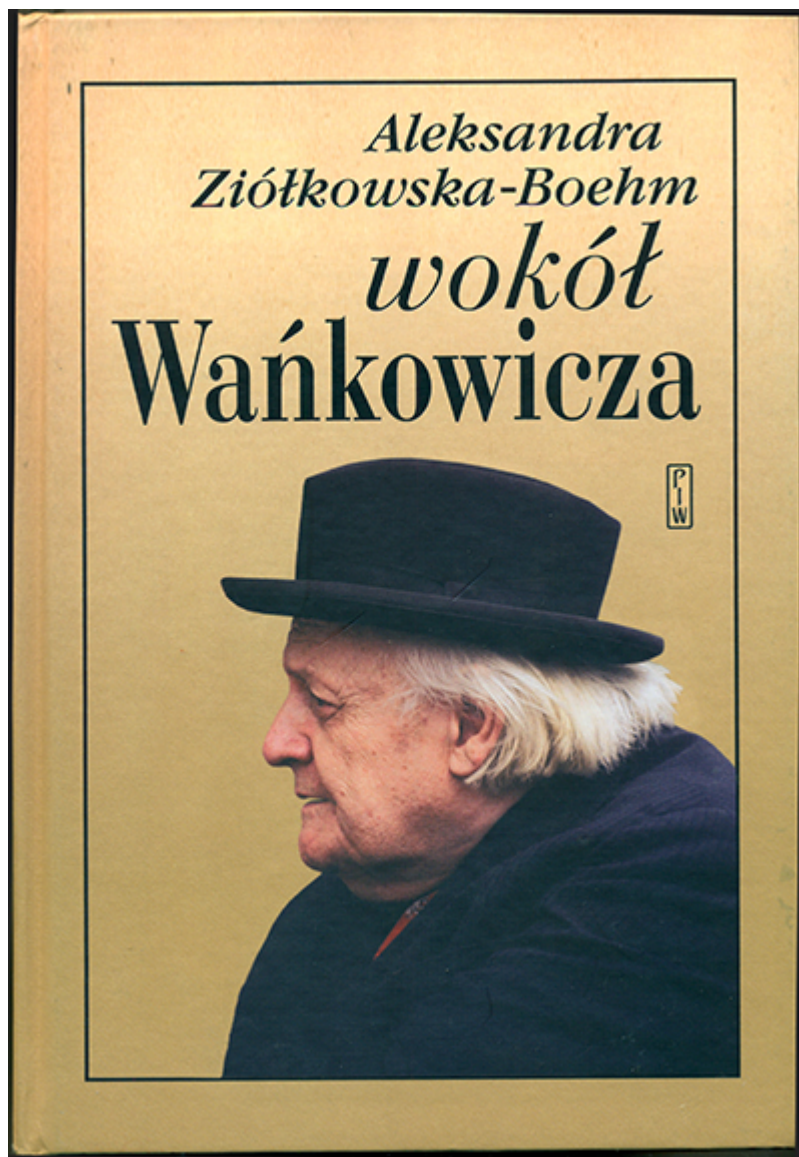
Z punktu widzenia cech systemu PRL – pomijając oczywisty ludzki aspekt sprawy – ciekawe są ostatnie momenty życia pisarza. Aleksander Małachowski odnotował:

Umierający Melchior Wańkowicz wezwał moją żonę oraz mnie i przez wiele nocnych godzin przekonywał nas, dlaczego nie możemy dopuścić, by mu sprawiono uroczysty, państwowy pogrzeb. Oni – mówił – zechcą to zrobić nie dla mnie, ale po to, by się sfotografować przy mojej trumnie.

Pisarz wyraził życzenie, by w nagrobku na rodzinnym grobie nie naprawiać rzeźby uszkodzonej kulą wystrzeloną podczas Powstania Warszawskiego. Skądinąd dziś powszechnie uważany za nieskończenie tępiony Kościół, wysyłał księdza z ostatnią posługą choć Wańkowicz o niego nie prosił. W pogrzebie uczestniczył minister kultury, pogrzeb prowadził jeden z biskupów, kamery TV filmowały (unikając widoku księży w kadrze), SB spisała swoje raporty z pogrzebu, cenzorskie zapisy w sprawach związanych z Wańkowiczem trwały, rzecz jasna, po jego śmierci. W sumie: totalne pomieszanie, ale lepiej było tak, niż inaczej.



*Last but not least*, dla historyka ciekawe jest widoczne w sprawach Wańkowicza długie trwanie pewnych spraw dziejowych. One się w Polsce – choć nie tylko tu – nie mogą skończyć, niektóre nawet odradzają się. Za PRL niektóre były wyciszane, ale może tym bardziej żyły. Gomułka pomógł Jasienicę o sprawy z grubsza ćwierć wieku wcześniejsze – a potem miała miejsce okropna rozmowa Wańkowicza z umierającym. Upadł komunizm, a Polska wciąż żyje historią. Inni teraz mówią o Wałęsie sprzed pół wieku. Mnóstwo ludzi jest przekonanych, że tak trzeba i że w ogóle można rozwiązać wszystkie dawne sprawy. Także o tym, że o obraz przeszłości trzeba walczyć (w praktyce przy odwołaniu się do niego trzeba walczyć z przeciwnikami). W sumie: mało to zachęcające, przynajmniej z punktu widzenia historyka, który wolałby widzieć poparcie dla badań niż boje prowadzone w ramach tzw. polityki historycznej.



Aleksandra Ziółkowska-Boehm, *Wokół Wańkowicza*, PIW,  
Warszawa 2019, s. 696

**Recenzja Marcina Kuli ukazał się w PAMIETNIKU  
LITERACKIM, Londyn, grudzień 2019 r.**

\*

**Zobacz też:**

„King i Królik” - powrót Melchiora Wańkowicza

Partnerzy i towarzysze życia. Korespondencja Melchiora i Zofii Wańkowiczów.